

Mahanoro, dnia 15 czerwca 1981 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Niemal zaraz po każdym przylocie samolotu z Tamatawy, a więc trzy razy na tydzień, idziemy na pocztę, aby ze skrytki Nr 9 wyjąć korespondencję przeznaczoną dla nas, przynajmniej polskie czasopisma. Listy z Polski też dochodzą w ciągu przeciętnie trzech tygodni, więc znacznie szybciej, niż na początku naszego pobytu. Wczoraj otrzymałem większą ilość listów za jednym razem i to na misji: przez trzy tygodnie (24.V. - 14.VI.) byłem poza domem i jedynie radio noszone przez Ojca Gabriela, francuskiego Montfortena, informowało mnie o wydarzeniach w Ojczyźnie. Żałowałem, że z Polski nie wywieźliśmy takich małych i lekkich odbiorników, ale też w Polsce nie można kupić wielozakresowych (mających skalę fal 13-metrowych), mieszczących się w koszyku wśród bielizny. Teraz już wiem, co kupię podczas najbliższego urlopu za trzy lata. Mojej „spidoli” zabierać nie mogę, chociaż jestem zadowolony słuchając w domu po francusku programów z Paryża, Brna, Moskwy i Izraela. Kiedyś radio izraelskie podało informację o zakończonym posiedzeniu rządu w Warszawie w dziesięć minut, szybkość zaiste imponująca tym bardziej, że od razu był komentarz dotyczący podjętych decyzji. Warszawa jest zbyt daleko i nawet „dla tych co na morzu” jeszcze nie dotarło do mnie, chociaż tylko kilkakrotnie próbowałem wychwycić na znanej mi częstotliwości.

Po dwóch tygodniach wypoczynku i indywidualnej nauce języka malgaskiego rozpoczęliśmy ostatni etap bezpośrednich przygotowań do pracy misyjnej. W dniu 11 maja przybył do Mahanoro ksiądz Biskup Jérôme Razafindrazaka, aby nas wprowadzić bezpośrednio w pracę duszpasterską. Od pierwszych informacji o misjach słyszymy wciąż, że ksiądz z Europy nie może prowadzić swego prywatnego duszpasterstwa i musi (!!!) stosować się do życzenia biskupa odpowiedzialnego przecież przed Bogiem i Kościołem za swoją diecezję. Przez dwa dni słuchaliśmy życzeń Księdza Biskupa, który informował nas o specyfice malgaskiego Kościoła i duszpasterstwa. Ale także wspominaliśmy nasze spotkania w Polsce przed dwoma laty. Ja wtedy byłem na młodzieżowym obozie w Beskidach organizowanym przez Klub Inteligencji Katolickiej i na jedno popołudnie dojechałem do Katowic Uczestniczyłem w koncelebrze z Księdzem Biskupem w kościele. Potem podczas rozmowy w domu Ksiądz Biskup nagrał na taśmę magnetofonową Modlitwę Pańską, Pozdrowienie Anielskie, Znak Krzyża Świętego i Chwała Ojcu - tę ostatnią na życzenie Ojca Emila, wieloletniego misjonarza na Cejlonie. Taśmę z tym nagraniem mam na Madagaskarze, a Ksiądz Biskup też doskonale pamięta cejlońską, ozdobną, przynajmniej półmetrową, fajkę kurzoną przez swego sąsiada przy stole. Ksiądz Biskup wita nas zawsze po polsku mówiąc „dzień dobry”, zna też słowo „dziękuję”. Prosił nas wielokrotnie, abyśmy odprawiali nabożeństwa, „jak w Polsce”. Ksiądz Biskup nie może zapomnieć czystej bielizny kielichowej i ołtarzowej, jaką przygotowano mu do Mszy Świętej w Polsce, więc możecie sobie wyobrazić, jak to wygląda po praniu na Madagaskarze.

Niestety, Ksiądz Biskup zupełnie stracił chęć do kontynuowania naszych spotkań po tragicznej wiadomości przekazanej nam przez francuskie radio już kilkanaście minut po zamachu na życie Ojca Świętego. Tego dnia siedzieliśmy przy radiowym odbiorniku dłużej, niż zwykle, chociaż ja od chwili, gdy radio francuskie podało informację o rozpoczęciu operacji, byłem przekonany, że Papież przeżyje zamach. Ludziom nie trzeba było ogłaszać o tragedii, na drugi dzień rano modliliśmy się razem w kościele o powrót do zdrowia Ojca Świętego. A Ksiądz Biskup po Mszy Świętej poszedł do swego pokoju i do końca pobytu w Mahanoro prawie nie wychodził.

Wikariusz Generalny, ksiądz Lahady Pascal, jest jedynym Malgaszem u Montfortenów. Przyleciał także do nas na tydzień i codziennie przez ponad 6 godzin mówił o zwyczajach i kulturze malgaskiej, zwłaszcza w aspekcie religii tradycyjnej. Jest autorem naukowej i bardzo trudnej książki o plemieniu Betsimisaraka („liczni, którzy nie są podzieleni”). Święcenia Kapłańskie otrzymał w Marolambo, do którego wkrótce się przeprowadzimy. Jego wykłady

pozwoili nam zrozumieć trudności w przedstawianiu prawd wiary, zwłaszcza naukę o czystości, odpowiedzialności po śmierci, a także problemy (braku) szacunku dla dzieci, zwłaszcza nienarodzonych: to „coś”, ale „prawie nic”. Słuchając zaś o sytuacji ekonomicznej i politycznej na Madagaskarze przypomniły mi się wszystkie problemy, które przeżywałem w Polsce. Coraz to zamyka się jakaś fabrykę z powodu braku energii, bo ropa naftowa coraz droższa, kawa tańsza, drogi coraz trudniejsze i nie można już korzystać z nich do przewozu płodów rolnych. Tak np. jeszcze 6 lat temu można było jechać drogą wzdłuż wybrzeża jeszcze setkę kilometrów od Mahanoro i dalej na samo południe Madagaskaru, a teraz mosty są zniszczone, przerdzewiałe, jedynie kładki dla pieszych są odnawiane przez miejscowych ludzi. Dlatego ludziom nie opłaca się dostarczać kawy czy przynosić owoce, których cena jest bardzo niska. Kolektywizacja obejmuje coraz to nowe dziedziny produkcji i nadzieja znów w Kościele, który tu ma dużo do powiedzenia, ale niewiele może zdziałać. Ludzie nie mając wystarczająco dużo pieniędzy obywają się bez cukru plantując trzcinę cukrową przy swoich domach. Pisząc to przypomniał mi się list z Polski, w którym poinformowano mnie, że dzieci nie mając wystarczającej ilości czekolady już nie pluą na landrynki i chętnie jedzą nawet najtwardsze cukierki. Czy to prawda? Nadzieja na lepszą i natychmiastową przyszłość doprowadziła do rewolty w 1972 i 1975 roku, teraz ludzie już spokojniej podchodzą do żądań i o ile odeszli od Kościoła przed kilkunastu laty, teraz do Kościoła powoli powracają. Porównywanie cen z polskimi nie miałoby sensu, gdyż trzeba wziąć pod uwagę zarobki i... bardzo małe wymagania ludzi żyjących na wioskach.

W ramach praktycznej nauki działania na misjach miałem przyglądać się pracy doświadczonego misjonarza, z którym mieszkalem w Mahanoro. Ma on swój sektor na samym południu diecezji Tamatawy, nad Oceanem Indyjskim, 47 km na południe od Mahanoro. W sobotę i niedzielę Hindus swoim samochodem nie przyjechał, więc dopiero w poniedziałek, dnia 25 maja wsiadłem do samochodu misyjnego, który prowadzony przez Ojca Lucjana zawiózł Ojca Gabriela i mnie do misji Masomeloka co znaczy „krzywe oko”. Szukałem wśród dzieci kogoś, kto nie patrzy na mnie prosto, ale nikogo takiego nie znalazłem. Droga jest bardzo urozmaicona. Trzeba przepłynąć trzy rzeki, z których pierwszą poznałem na samym początku naszego pobytu. Druga ma bardzo trudny wjazd na prom. Trzecia rzeka jest już przy wiosce Masomeloka. Tutaj promem trzeba jechać ponad kilometr pod prąd rzeki, nie tylko prostopadle na drugi brzeg. Po czterech godzinach byliśmy na miejscu. Przybyłe dzieci powitały mnie po polsku słowami: „dzień dobry”, co dobrze świadczy o działalności Ojca Jana podczas Świąt Wielkanocnych. Misja jest piękna. Duży, bardzo wysoki kościół, w połowie wypełniony ławkami. Niewielka jest tu wspólnota katolicka i ta ilość ławek w zupełności wystarcza. Ksiądz nie mieszka tu od chwili przerwania budowy domu ojców w roku 1975. Budujący, ciągle ten sam brat zakonny, przerwał budowę na czas urlopu i po powrocie z Europy... pojechał budować coś innego: centrum młodzieżowe w Marotsiriry. Zbudował i nadal tam mieszka. Dom dla ojców w Masomeloka jednak jest bardzo ładny, ma 5 pokoi, na razie nie ma sufitów i po ścianie bez trudu można wejść do każdego pokoju. Kradzieży jednak tu nie znają, a staranniej uważają na misję, gdy w wiosce zatrzyma się wędrowiec z daleka. Obok domu jest kuchnia, którą trzeba przebudować i chyba potrzebny jest cyklon, aby zmobilizować do poprawienia bardzo niewygodnego, brzydkiego i rozpadającego się budynku. Są też szczątki warsztatu, chociaż już nie ma znaku po wyposażeniu. W zakrystii dużo rupieci. A dookoła dużo drzew i krzewów, piękna ścieżka prowadzi do strumyka na końcu terenu misji. Właśnie ta maleńka rzeczka płynąca zygzakowato nazywa się Masomeloka, czyli „Krzywe Oko”.

Jedną noc śpiemy w misyjnym domu, a rano, we wtorek, dnia 26 maja, tragarze zabierają nasze kosze dobrze zabezpieczone przed zamoczeniem. W malgaskim wyplatany koszu mam bieliznę osobistą i spodnie na zmianę, książki liturgiczne, albę, stułę, latarkę, trochę lekarstw, przybory toaletowe, koc, prześcieradła, moskieterę... razem około 14 kg. Idziemy drogą samochodową. Tuż za wioską jest zniszczony most. Kiedyś jeździły po nim samochody, teraz nawet przejście po spróchniałych deskach jest trudne. A że przez ostatnie 3 dni padał deszcz, droga będąca mieszaniną piasku i gliny zamieniła się w błoto i po pół godzinie sandał ugrzązł tak głęboko, że z wyciągnięciem miałem problemy. Wreszcie wyostałem z błota nogę z sandałem, ale urwałem pasek, gdyż był przyszyty nitką na samej krawędzi. Nitka wytrzymała,

tylko skóra się rozerwała. Jaki skutek? Dalej szedłem boso, póki droga była piaszczysta. Po godzinie weszliśmy w teren pagórkowaty i na drodze pojawiło się dużo drobnych kamyków, więc musiałem założyć sandały, z których jeden nie miał paska na pięcie, co bardzo utrudnia chodzenie. Właśnie na pasek na pięcie zwracał uwagę nasz doświadczony w chodzeniu proboszcz żegnając nas przed wyjazdem. Pasek drugiego sandału nie zerwał się, ale zrobiony chyba z krowiego ozora wydłużył się tak, że nie spełniał należycie swojego zadania. Po trzech godzinach doszliśmy do wioski, w której nas oczekiwano. Przez 21 dni odwiedziliśmy jedenaście wiosek, pozostając w niektórych przez trzy dni, gdy było przewidziane szkolenie katechetów przybyłych z sąsiednich wiosek. Program dnia zawsze taki sam: rano Msza Święta i przejście do następnej wioski (20 - 130 minut), przywitania, rozmowy z katechetą, obiad, sjesta, o 14-ej spotkanie z chrześcijanami, katecheza, nauka śpiewu, kolacja i krótki spacer. Nigdy później niż o 20-ej kładliśmy się spać, przygotowując sobie łóżko, o ile było. Nieraz w całej wiosce nie ma ani jednego takiego mebla i wtedy materac kładzie się po prostu na podłodze. Ważną rzeczą jest założenie moskietery, czyli klatki z firanki chroniącej przed komarami. Niejeden raz nawet szczur przeleciał po moskieterze. Malgasje mają znormalizowaną długość materacy dostosowaną do ich wzrostu, około 160 cm, ja mając wpisane w paszporcie 181 cm mogę spać jedynie po przekątnej. Rzadko w domu jest sufit, nieraz jest tylko dach i to z liści, więc czułem się silnie związany z przyrodą, jak podczas rowerowych wycieczek na Mazurach przed laty. Wiele razy leżąc obserwowałem gwiazdy przez liście, którymi był pokryty dach domu. Oczywiście, to nie są wielkie budowle czy chociażby domy murowane. Są to domy z bardzo lekkich materiałów, ściany z grubszej trzciny, a wymiary dużego domu mają 4 x 6 metrów. Jednakże częściej śpimy w domkach dużo mniejszych. W jednej z wiosek dano nam domek świeżo pokryty liśćmi, które jeszcze nie ułożyły się należycie i deszcz kąpiący na nasze moskietery obudził nas. Na drugą noc wprowadzono nas do mniej ładnego domku, w którym spaliśmy spokojnie: tej nocy deszcz nie padał. Taki dach z sześciometrowych liści przymocowanych lianami lub korą pewnych drzewek wytrzymuje cztery lata. Miałem też możliwość poznać z bliska bardziej atrakcyjne stworzenia Boskie, jak dwie pluskwy, więcej karaluchów, sporo mrówek i kilka pcheł piaszkowych, które zbyt długo nie zdołały się ukrywać w palcach moich nóg. Na jedzenie nie narzekałem: trzy razy na dzień ryż, do tego kura, albo fasola oraz malgaskie sałaty. Popijałem herbatą z ryżu. Ale też trzy razy dziennie podawano mi kawę, bardzo mocną. Głodny nie byłem, spacerowały znakomicie: 17 godzin marszu, w tym 6 godzin boso i dziesięć godzin w górach po ścieżkach bardzo stromych, straszliwie śliskich z powodu gliny. Piasek jest tylko na wybrzeżu. Nie przejmuję się też tym, że schudłem 4 kilogramy podczas pierwszego obchodu, skoro bez chodzenia po wioskach też chudłem. Obecnie ważę o 20 kg mniej, niż po przylocie z Paryża w grudniu ubiegłego roku, ale jeszcze 86 kg mi pozostało. Najwięcej schudł Ojciec Roman: 30 kg. Teraz staram się o zagojenie drobnych ran na stopach spowodowanych ostrymi trawami i kolcami na krzewach.

Z powodu częstych i obfitych deszczów żniwa ryżu są opóźnione przynajmniej o miesiąc. Mieszkańcy odwiedzanych wiosek pozostają jeszcze w swoich domach przy ryżowiskach, jednakże w oznaczonym dniu wszyscy chrześcijanie przyszedli do wioski, chociaż dwudniowa przerwa w pracy znaczy dla nich bardzo dużo. Następnym razem spotkają się z misjonarzem w październiku, przed listopadowym sianiem ryżu. Ludzie są bardzo życzliwi. Nieraz wyczuwa się u nich lęk przed białym człowiekiem: „nie wiadomo, co może zrobić, więc lepiej okazać życzliwość, bo to nic nie kosztuje”. Małe dzieci płaczą zobaczywszy „białego diabła”, ale ludzie pragną spotkać się z misjonarzem. W pewnej wiosce przez dłuższy czas katolicy nie zbierali się na wspólną niedzielą modlitwę i dlatego podczas poprzednich odwiedzin misjonarz, Ojciec Gabriel, postanowił uznać ich za wspólnotę martwą. Ich wioski nie umieścił w programie wysyłanym do każdej odwiedzanej wspólnoty katolickiej. Katolicy opuszczonej wioski zrozumieli, że przestaje do nich przychodzić. Teraz przybyli do sąsiedniej wioski, aby zapewnić misjonarza, że już się modlą i dlatego proszą, aby podczas następnego obchodu misjonarz też do nich przyszedł. Po wejściu do wioski wszyscy przychodzą przywitać podróżnych, także niechrześcijanie. Z księdzem katolicy spotykają się najwyżej trzy razy do roku, bo misjonarz nie zdoła przyjąć częściej. Półgodzinna droga do wioski sąsiedniej jest dla ludzi często zbyt

uciażliwa, chociaż przychodzi zawsze katecheta. Malgaszom trudno się skupić, po kwadransie słuchania czy dyskusji są zmęczeni i jedynie mogą śpiewać. Dlatego nauczanie katechizmu jest tak zaplanowane, aby treść religijna mogła być przekazana także przez śpiew. Katechizmowe formułki też są znane doskonale na pamięć przez dzieci i przez starszych. Cieszy mnie, że w kościele zachowują się bardzo pobożnie, są skupieni, uważni, chociaż nie przechowuje się Najświętszego Sakramentu. Dla Malgazy Bóg jest naprawdę pierwszym, najważniejszym, ważniejszym, niż człowiek. Chociaż wierzą w Boga, jednego, wszechmogącego, uznają Go swoim Stwórcą i Panem, ale nie mają poczucia odpowiedzialności po śmierci. Dla nich śmierć jest nieuniknionym przejściem do zjednoczenia się z Bogiem i po jakimś czasie, gdy na ziemi zostanie zapomniane jego imię, zmarły stanie się przodkiem. Jedyna rzecz, której naprawdę się boją, to pozbawienie ich prawa do pochowania w rodzinnym grobie, gdyż zjednoczenie z Bogiem jest możliwe tylko wtedy, gdy ciało zostanie złożone w grobie. Malgasz nie boi się śmierci, boi się jedynie, aby nie zaginęło jego ciało, np. utopione w bagnie lub nie odnalezione w rzece. Wiąż córki z rodzicami jest większa, niż z mężem i dziećmi. Kobieta wychowawszy dzieci powraca do rodzinnej wioski, zwłaszcza czując się słabą i chorą, aby umrzeć w pobliżu rodzinnego grobu. Nie mają pokus kradzieży. Raz zwróciłem uwagę Ojcu Gabrielowi, że zostawia pieniądze na stole w przeźroczystej torebce. Ten machnął tylko ręką i powiedział, że „tu nie miasto”. Powróciliśmy z kościoła po trzech godzinach, nic nie było poruszone. Gdy drzwi chaty są zastawione, nikt nie próbuje wejść do środka bez względu na porę dnia. Okien w małych domkach nie ma, więc chcąc coś zrobić z konieczności trzeba odsunąć „drzwi” z trzciny - i wtedy wszyscy wiedzą, że gospodarzom się nie przeszkodzi. W pewnej wiosce dzieci czekały przez 15 minut, aby nas powitać przed pójściem do szkoły i tyleż się spóźniły, lecz nie odezwały się myśląc, że my jeszcze śpimy. A nam po prostu wystarczały promienie słoneczne wpadające przez szpary, zwłaszcza pomiędzy ścianami, a dachem. Nie w każdej wiosce jest szkoła, dużo dzieci nie uczy się, a ja stwierdziłem, że czytam po malgasku lepiej, niż niektórzy katecheci.

Nie w każdej wiosce jest kościół i wówczas zebranie i Msza Święta jest odprawiana w chacie, raz była w szkolnym budynku. W dniu poświęconym Świętemu Barnabie Apostołowi próbowałem ocenić, o ile jesteśmy podobni do Apostołów rozesłanych przez Pana Jezusa. Bez naszych tragarzy byłibyśmy bezradni nie tylko dlatego, że trudno byłoby nam nieść cały bagaż. Nawet doświadczony misjonarz miałby kłopot trafić do niektórych wiosek, gdyż krajobraz zmienia się co roku w związku z wypalaniem zarośli pod uprawę ryżu. Jak ja wyglądam w drodze? W ręku kij i płaszcz nieprzemakalny jednorazowego użytku, na wszelki wypadek. Na głowie mam szeroki sztywny kapelusz z malgaskiej trawy, na palcu turystyczny różaniec kupiony w Lourdes. Przejście w sutannie byłoby bardzo trudne, ponieważ przechodzimy przez liczne strumyki i w błocie, więc najpraktyczniej jest maszerować w krótkich spodniach i koszuli z krótkim rękawem.

Po powrocie do domu nie od razu wnosi się bagaż do mieszkania. Przed wyjęciem czegokolwiek do prania, jeszcze na werandzie, wyjmuje się każdą rzecz i sprawdza, czy przypadkiem nie przyniosło się do domu pluskwy. Dopiero potem wrzuca się przepoconą i brudną bieliznę do prania, książki na półkę, uzupełnia notatki, wpisuje dane do księgi chrztów, otwiera listy nadesłane z Ojczyzny, beztrąsko odpoczywa przez kilka godzin. I dopiero wtedy siadam do maszyny, aby napisać ten list, zawierający pierwsze spostrzeżenia i refleksje pierwszego obchodu. We wszystkich wioskach Ojciec Gabriel mówił, że wkrótce trzech Polaków - Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej zamieszka w Marolambo, a dwóch w Ambinanindrano. Wtedy pytano nas, kiedy misjonarze zamieszkają w Masomeloka, misji opuszczonej przed siedmiu laty. Co na to kandydaci na Misje w Polsce? Bo tylko na Polaków tu liczą. Na Ciebie też, Młody Drogi Czytelniku!

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. We francuskiej książce znalazłem ciekawą, chociaż gorszą mnie zagadkę. Oto ona. Jeżeli z trzech petów możesz zrobić jednego papierosa, to ile papierosów zrobisz z dwunastu petów? Jeśli odpowiedziałeś: „cztery”, to świadczy o braku zmysłu oszczędności. Zakonnikowi brakuje wtedy ducha ubóstwa. Z dwunastu petów zrobisz rzeczywiście cztery papierosy, ale wypaliwszy je będziesz miał jeszcze cztery pety. Z trzech petów zrobisz piątego papierosa i wypaliwszy go będziesz miał jeszcze dwa pety. Pożyczasz jednego peta, robisz szóstego papierosa i wypaliwszy go zwracasz pożyczonego peta. A wiesz, co jest na końcu każdego papierosa w ustach palacza? Z jednego końca jest palący się ogień, zaś z drugiego końca jest palący dureń. Napisz mi, czy mam rację, chyba, że nie wiesz, co to jest pet.

* * * * *